WTOREK
Nr 107 87-09-08 Cena 15 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

„DAR MŁODZIEŻY" pięcioraczkiem...

Szkolny żaglowiec „Dar Młodzieży" ma już bliźniaka. Jest nim s/y „Drużba", który w pierwszej połowie sierpnia opuścił Stocznię Gdańską im. Lenina udając się do Tallina, skąd po zaokrętowaniu załogi wyruszy w swoją pierwszą długą podróż — do Odessy.

Związek Radziecki zamówił cztery żaglowce z rodziny „Daru Młodzieży" — następny, o imieniu „Mir" znajduje się jeszcze w stoczni w trakcie wyposażania, dwa następne opuszczą gdańską kuźnię Neptuna w następnych latach.

Głównym projektantem tych żaglowców jest inż. Zygmunt Choreń.

Zdjęcie przedstawia s/y „Drużba" od strony bukszprytu, czyli pochyłego masztu na dziobie. **(wm)** Fot. **CAF**

UWAGA, OKAZJA!

Tylko przez 3 tygodnie sklepy CSH sprzedawać będą

MUNDURY HARCERSKIE I ZUCHOWE PO NIŻSZEJ CENIE

Centralna Składnica Harcerska przez 3 tygodnie, w okresie **od 21 września do 10 października br.** wprowadza bonifikatę na zakup niektórych swych towarów. I tak: o 25 proc. tańsze będą mundury zuchowe i harcerskie, a 30 proc. mniej będzie się płacić za chlebaki, torby sanitarne, worki żeglarskie, peleryny, kangurki (rozmiar do 164 cm), mundury żeglarskie.

Skorzystajcie z okazji!

KOSMICZNA FURGONETKA

TOKIO (PAP). Stany Zjednoczone i Japonia osiągnęły porozumienie w sprawie wspólnego przystąpienia do prac nad transportowym statkiem kosmicznym. Poinformował o tym rzecznik japońskiej agencji naukowo-technicznej.

Kosmiczna „furgonetka" o wadze 4,7 tony miałaby dostarczać żywność, wyposażenie i aparaturę do stacji orbitalnej, którą Stany Zjednoczone zamierzają przy współudziale Japonii i państw zachodnioeuropejskich skonstruować do końca lat dziewięćdziesiątych.

Statek transportowiec będzie wprowadzany na orbitę rakietą japońską. USA zwróciły się o pomoc do Japończyków z tej racji, że — jak obliczyli eksperci — amerykańskie wahadłowce nie będą w stanie zagwarantować wymaganej częstotliwości lotów.

Telefoniczny rysownik

(PAP). W japońskiej filii firmy NTT International Corp. skonstruowano urządzenie do telefonicznego przesyłania pisma i rysunków. Znaki graficzne zapisane na tabliczce urządzenia są zamieniane na sygnały dźwiękowe, przesyłane do adresata, u którego następuje ich wydruk. Czas graficznej transmisji wynosi 15 sekund.

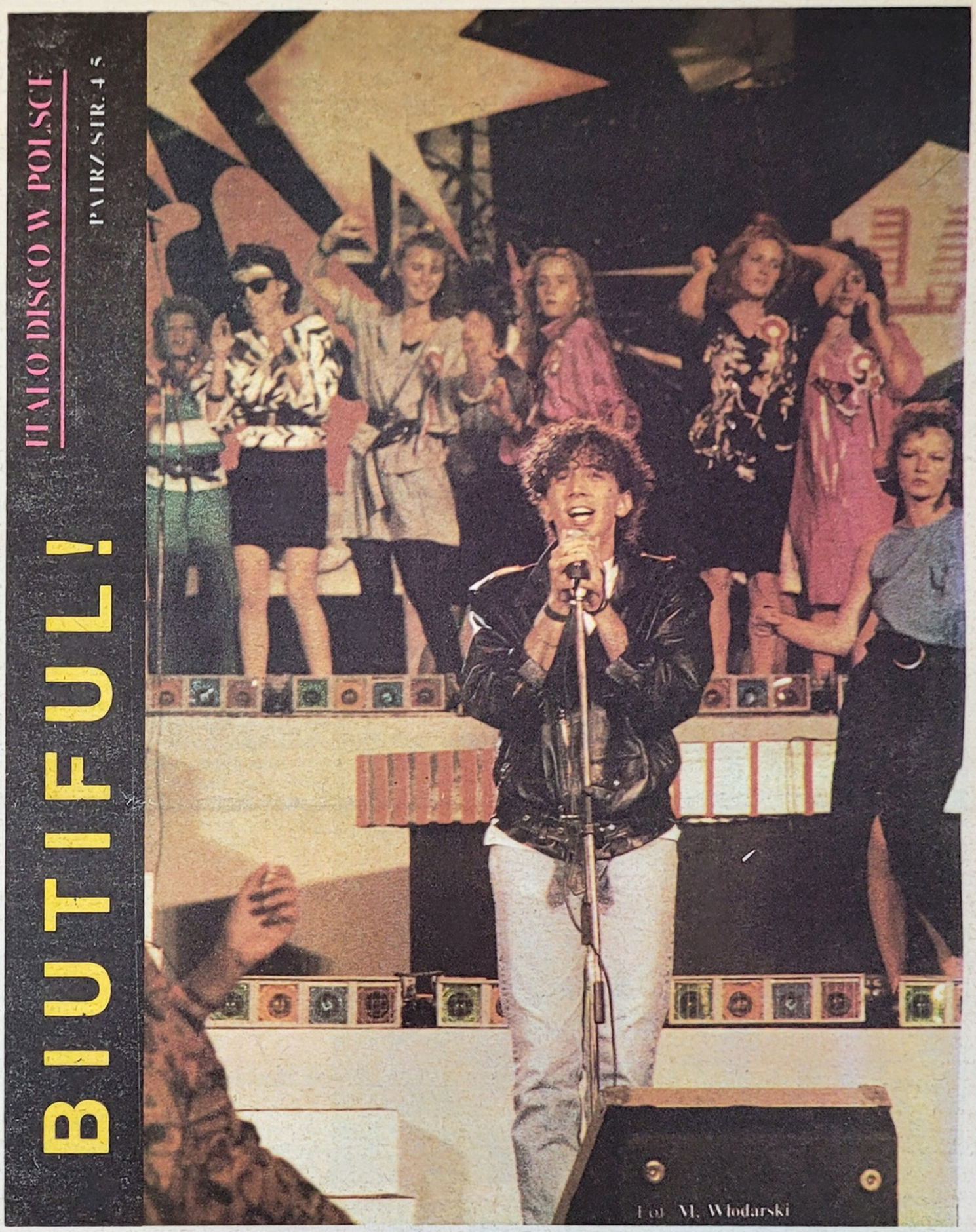

Fot. M. Włodarski

SZCZECIŃSKI SPOSÓB LECZENIA ZEZA

Zez jest przeszkodą nie tylko w sensie estetycznym. Uniemożliwia także wykonywanie wielu zawodów, między innymi kierowcy, nawigatora i innych, w których nieodzowne jest prawidłowe widzenie. Zeza trzeba leczyć. W Szczecinie czyni się to również bez użycia narzędzi chirurgicznych. Metoda polega na świadomym kształtowaniu prawidłowej wzrokowej lokalizacji przestrzennej poprzez ciągłe ukierunkowane oddziaływanie na korę mózgową. Służą do tego celu pryzmaty — specjalnej konstrukcji szkła noszone w oprawach okularowych oraz odpowiednie ćwiczenia mięśni gałki ocznej. Metoda opracowana i stosowana jest z powodzeniem od lat w I Klinice Okulistycznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, kierowanej przez prof. dr Teresę George-Baranowską. Przeszkodą na drodze do rozpowszechniania szczecińskiej szkoły leczenia zeza jest niewielka liczba łóżek w klinice oraz kłopoty, ciągnące się zresztą od lat, z produkcją pryzmatów stanowiących podstawę terapii. Wytwarza je obecnie praktycznie jeden rzemieślnik, a potrzeby są przecież ogromne.

Dlatego konieczne jest tu współdziałanie optyków z różnych stron kraju i odpowiednia pomoc wydziałów zdrowia.

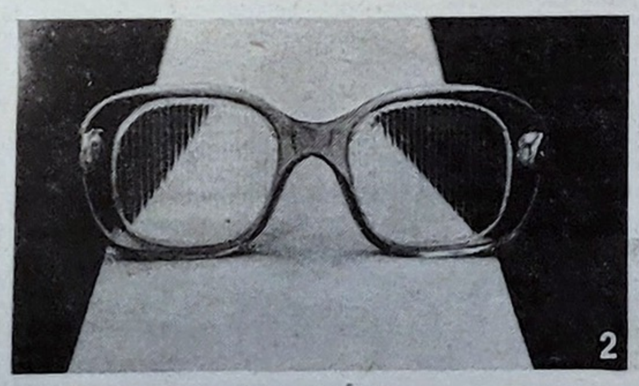

Na zdjęciach:

1. ***Zanim przystąpi się do terapii, trzeba określić kąt zeza***

2. ***Okulary pryzmatyczne pomagają prawidłowo widzieć***

NASI ZA GRANICĄ

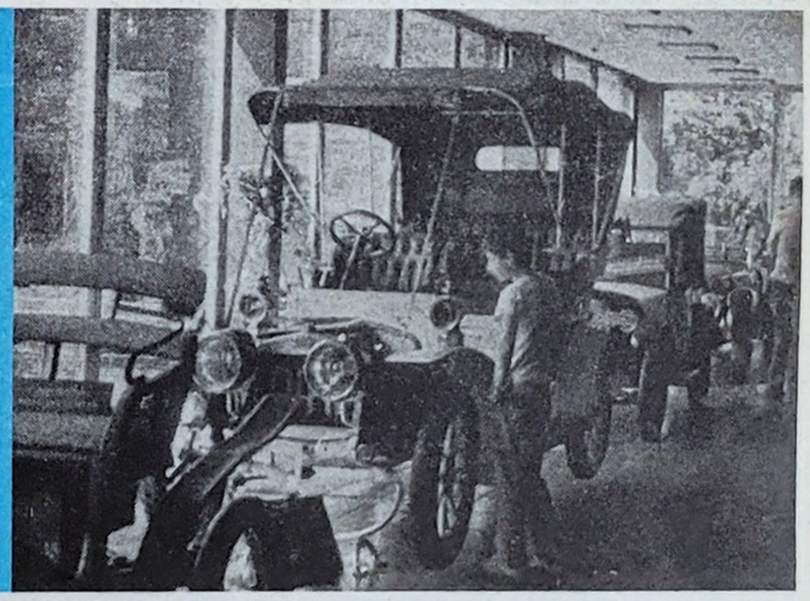

Eisenach, 50-tysięczne miasto powiatowe NRD, położone w północno-zachodniej części Lasu Turyńskiego znane jest z wielu zabytków historycznych. Tu mieszkali i działali J.S. Bach i Marcin Luter. W ich domach urządzono niezwykle ciekawe muzea.

W czasie ostatnich wakacji spotkałem w Eisenach harcerzy z chorągwi łódzkiej oraz czeskich pionierów z Pragi przebywających w turyńskich lasach na obozach.

Naszych harcerzy można było spotkać w Muzeum Samochodów fabryki VEB Automobilwerk, produkującej znane samochody Wartburg. Nazwa wiąże się z górą i zamkiem Wartburg. **(ZK)**

Na zdjęciu: w Muzeum Samochodów harcerze ze Szkoły Podstawowej nr 15 w Pabianicach.

Fot. **Z. Korzeniowski**

REPORTER Świata Młodych

WAKACYJNE ŚCIEŻKI

U sąsiadów

Byłem na koloniach w NRD w miasteczku o nazwie Bad Blankenburg, położonym w południowej części kraju. Nazwa ta większości czytelników z pewnością nic nie mówi. Dla mnie jednak oznacza wspaniałe miejsce. Co prawda dojazd z Torunia zabrał nam grubo ponad dobę, ale to co ujrzeliśmy, przeszło nasze oczekiwania. Zostaliśmy zakwaterowani w schronisku młodzieżowym znajdującym się na zboczu wzgórza. Wystarczyło wyjść na taras, aby można było ujrzeć panoramę całego miasteczka i wieżę XIII-wiecznego zamku, położonego powyżej schroniska. Wieża zamkowa także jest znakomitym miejscem obserwacyjnym na całą okolicę w promieniu kilkunastu kilometrów.

Miasteczko nie jest duże i leży w dolince. W schronisku jedliśmy tylko śniadania i kolacje, więc na obiad każdorazowo musieliśmy schodzić na dół. Przy drodze rósł sad czereśniowy, obok którego nie przechodziliśmy, oczywiście, obojętnie... Niżej znajdowały się domki jednorodzinne: wspaniałe, zadbane, z mnogością kwiatów, po prostu wille. W miasteczku znajduje się kilka dobrze zaopatrzonych sklepów, ale większość zakupów zrobiliśmy w Lipsku. Byliśmy tam przejazdem. Przyjechaliśmy przed południem, a pociąg powrotny do Warszawy mieliśmy dopiero o godz. 19, więc mieliśmy trochę czasu. Największe wrażenie w tym dużym mieście, oprócz trzech wielkich domów towarowych zrobił na nas dworzec kolejowy. Ma on — bagatelka — 24 perony. Podobno jest największy w Europie!

Na wycieczkach byliśmy w dwóch innych miastach. Pierwsze z nich to Jena — wielki ośrodek przemysłu optycznego. Niestety! Z powodu brzydkiej pogody mogliśmy Jenę obejrzeć tylko przez szybę autobusu. W Sonnenbergu zwiedziliśmy wspaniałe muzeum zabawek. Czego tam nie ma! Najróżniejsze lalki, misie, mnóstwo zabawek mechanicznych. Największe zainteresowanie wzbudziła kolejka elektryczna. Sterowana automatycznie, zawierająca 7 taborów pociągów (tylu się doliczyłem), kilka tuneli i mostów. Można było na to patrzeć bez końca... W drodze do Sonnenbergu wstąpiliśmy do muzeum szkła dmuchanego, mieszczącego się w mieście o nazwie Lauscha. Oprócz tego zwiedziliśmy także piękną jaskinię, podobną do jaskini „Raj" w Kieleckiem. Wspaniałe efekty świetlne w scenerii różnego rodzaju kształtów i wielkości stalaktytów i stalagmitów do złudzenia przypominały wschód i zachód słońca. I chociaż było tam mokro i zimno, nie żałowałem, że udało mi się zobaczyć coś tak pięknego.

Marek Robaczewski (14 l.)
Toruń

▼ *Tu mieszkaliśmy*

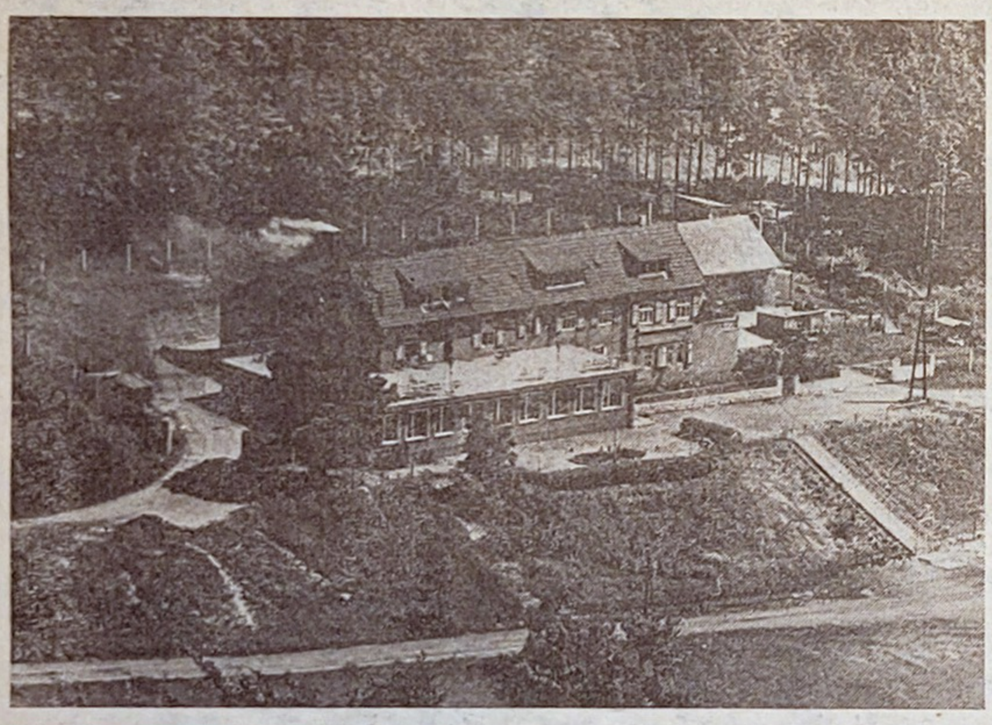

Chwile żywej historii

W połowie czerwca udałem się wraz z rodzicami na wczasy do Rokitna, małej wioski leżącej nad jeziorem o tej samej nazwie. Po powrocie wraz z moją babcią pojechałem do Niepołomic, miasteczka oddalonego o 20 km od Krakowa. Niepołomice posiadają kilka zabytków najwyższej klasy. I tak w centrum znajduje się kościół pod wezwaniem Dziesięciu Tysięcy Męczenników. Został on wzniesiony w latach 1349–58, a jego fundatorem był król Kazimierz Wielki. W roku 1655 Szwedzi podczas najazdu podpalili kościół i częściowo go zniszczyli. Odbudową zajęła się rodzina Lubomirskich. Jedna z legend, która wiąże się z tym kościołem, mówi, że tutaj właśnie królowa Bona pochowała swojego zmarłego syna. Czy jest to prawda, chyba nigdy się nie dowiemy.

Innym ciekawym obiektem jest zamek położony w zachodniej części Niepołomic. Został on także wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego w roku 1350. Przypuszczalnie był to początkowo mały, drewniany zameczek myśliwski. Z historią zamku związana jest osoba Władysława Jagiełły, który zwoływał tu zjazdy koronne.

W czasie II wojny światowej Niemcy urządzili tu magazyny oraz składy amunicji, a opuszczając Niepołomice w roku 1945 wysadzili zamek, który po zakończeniu wojny został gruntownie odrestaurowany. Interesującym miejscem jest też, oddalony o 15 km od Niepołomic, kopiec Grunwaldzki. Wznosi się on na wysokość 14 metrów. Został usypany w latach 1910–1915 przez społeczeństwo miasta w 500 rocznicę bitwy pod Grunwaldem. W głębi Puszczy Niepołomickiej na tzw. Kozich Górkach stoi okazały pomnik. Upamiętnia on ludzi różnych narodowości, którzy zginęli w wyniku masowej egzekucji, jaką urządzili tu w roku 1943 hitlerowcy.

Wyjeżdżając z Niepołomic pomyślałem, że pobyt tutaj był dla mnie żywą lekcją polskiej historii. Następne wakacje także spędzę w Niepołomicach.

Artur Dzigoński
Wałbrzych

Tylko tu można spać na pachnącym sianie

Na dwa tygodnie pojechałam jak zwykle na wieś. Już przy samej furtce witał nas donośnym szczekaniem pies — Dzimdziuś. Jest to mały i śmieszny kundelek o brązowej sierści. Kiedy go pogłaskałam i przywitałam się z rodziną, to od razu zaczęłam swoje harce, pogłaskałam większego psa Merego, który ma swoje stanowisko przy budzie, pełni bowiem rolę stróża. Pobawiłam się również z Agatką, która jest świnką. Robi wszystko jak pies, tylko szczekać nie potrafi.

Po obiedzie byliśmy aż do wieczora nad jeziorem. Woda zimna, ale po chwili można się do niej przyzwyczaić. A potem ognisko!!! Sama radość. Pieczone kiełbaski i ziemniaki były pyszne. Gdy ostatnie płomienie zgasły, poszliśmy spać na siano, oczywiście z Dzimdziusiem.

Tak minęły te 2 tygodnie. Byliśmy w lesie na malinach. Żegnamy się ze wsią z żalem, lecz niedługo tu wrócimy.

Bożena Marczak (10 l.)
Szczecin

I ja odkryłam Biskupin

Wakacyjna ścieżka zaprowadziła mnie do Biskupina. Nie znalazłam się tam przypadkowo. Interesuję się archeologią i architekturą, bardzo chciałam poznać najsłynniejszy rezerwat archeologiczny w Polsce.

Został on odkryty w roku 1933, na półwyspie Jeziora Biskupińskiego. W czasie badań znaleziono pozostałości osadnictwa sprzed 10 000 lat. Odkryto również wiele przedmiotów z krzemienia, kamienia, kości, rogu, szkła, drewna itp. Zachowane oryginalne fragmenty osady uzupełniono zrekonstruowanymi w naturalnej wielkości domami, ulicami, bramą wjazdową oraz odcinkami wału i falochronu.

Zwiedzenie tego rezerwatu wzbogaciło moją wiedzę na temat archeologii. Wszystkich, których zainteresowałam tym miejscem, serdecznie zachęcam do obejrzenie Biskupina!

Iwona
Zawiercie

Uroki Piwnicznej

Dwa ostatnie tygodnie lipca spędziłem na wczasach w Piwnicznej. Moją „przystanią" była „Koliba" — wczasowy ośrodek, gdzie wraz z rodzicami przyjechałem późnym wieczorem. Powitał nas tu wrzask mikrusów (według nomenklatury Edmunda Niziurskiego). Po odebraniu klucza w recepcji udaliśmy się do pokoju. Sen przyszedł szybko, byliśmy bowiem zmęczeni podróżą.

Następny dzień poświęciliśmy na zwiedzanie okolicy. Miasteczko jest małe. Znajduje się w nim kilka kawiarenek, w których tłoczno od wczasowiczów i osób miejscowych, pragnących skosztować wyrobów monopolowych. Wczasowi głodomorzy poumieraliby tu z braku gofrów, rurek, zapiekanek itp. Natomiast sklep z artykułami monopolowymi ma wielu klientów... Po długiej wędrówce znaleźliśmy frytki. Odechciało się nam jednak czekania w dusznej izdebce. Ludzie czekający na placki ziemniaczane narzekali na brak wentylacji, a oburzona tym ekspedientka „uprzejmym" głosem poinformowała, „że ona nikogo nie prosi, aby tu kupował". Rewelacyjna okazała się cena jednego ciastka — 26 zł. Natomiast oczarowały mnie tutejsze lasy. Co za różnorodność fauny i flory! Smakowała mi również tamtejsza woda mineralna. Szkoda tylko, że zapewne kiedyś piękny Poprad jest tak bardzo zanieczyszczony.

Odbyłem kilka wycieczek do: Nowego Sącza, Muszyny i Krynicy.

„Autant"
Tarnów

Puńsk — prawie za granicą

Tegoroczne wakacyjne ścieżki zaprowadziły mnie do Suwałk. Zresztą nie tylko mnie, bo jeszcze ponad dwieście osób zjechało na obóz Klubu Przodujących Szkół do tego miasta. Nie chciałbym jednak pisać o całym obozie, który był naprawdę arcyciekawy, chcę się podzielić wrażeniami z jednej tylko wycieczki, jakich wiele organizowało Biuro Turystyczne działające na obozie. Wycieczka to była niepospolita — bo prawie zagraniczna. Zresztą — nasz przewodnik tuż za miejscowością Szpliszki pół serio oznajmił nam, że jesteśmy już na Litwie, i to bez wiz i dewiz tam przyjechaliśmy.

Autokar mknął po drodze wśród lasów, pól i łąk Suwalszczyzny. Po ziemi, o której tak pisze wielki miłośnik tego regionu — pan Andrzej Strumiłło: „Jest ona centralnym wzornikiem plemion i narodów w ciągu dwóch tysiącleci, Jaćwieży, zagonów pruskich, mazowieckich i ruskich, kolonizacji krzyżackiej i niemieckiej, osadnictwa litewskiego, ruskiego i polskiego, staroobrzędowców z głębi Rosji".

Celem naszego wyjazdu było niewielkie miasteczko — Puńsk.

Położone tuż nad granicą z ZSRR, na północno-wschodnim krańcu Polski, jest ośrodkiem kultury litewskiej. Nic dziwnego, bo trzy czwarte tutejszej ludności to Litwini. Zamieszkują oni również inne miejscowości w pobliżu o tak uroczo brzmiących nazwach jak: Giełujsze, Oszkinie, Pełele, Szyłajnie, Trakiszki, Widugiery, Wojciuliszki, Zaboryszki. Mieszkają tutaj od wielu lat, a obok nich Polacy. Żyją i gospodarują — i to bardzo dobrze gospodarują, ich gospodarstwa są wzorowe. Chyba nie wszyscy wiedzą o tym, że wieś Oszkinie, właśnie w puńskiej gminie jest całkowicie stelefonizowana? Tak! Każdy dom posiada tam telefon, a w Puńsku przymierzają się do podobnych inwestycji.

Nasz autobus zatrzymał się na dość dużym placu przed kościołem, a 40-osobowa grupa wycieczkowiczów rozsypała się po schludnym miasteczku. W gablotach obok drogi widać zdjęcia z różnych miejscowych uroczystości. A pod tymi fotografiami — podpisy, ale w dwóch językach — to znaczy po polsku i litewsku. Muszę się przyznać, że mowa i pismo litewskie jest mi nieznane i jest dla mnie czarną magią (jak to dobrze, że owe teksty pod zdjęciami były tłumaczone na polski). Podobne wrażenie odniosłem także w miejscowym neogotyckim (1881 r.) kościele. Tam również wpatrywałem się lekko zdumiony w miejscowego (niezwykle sympatycznego, starszego pana) proboszcza, który melodyjnym głosem — oczywiście po litewsku — wyrecytował nam „Zdrowaś Maria". Spotkanie z proboszczem puńskiej parafii na długo pozostanie mi w pamięci. Ten bardzo miły człowiek porafił stworzyć w czasie naszego spotkania wspaniałą atmosferę. Opowiadał zaś o tym, jak w ciągu kilkudziesięciu lat jego obecności tu w Puńsku musiał łagodzić spory Polaków i Litwinów. Mówił, jak to musiał się głowić, aby zadowolić i jednych, i drugich, gdy obie nacje pragnęły wysłuchiwać nabożeństw w swoim języku.

Jak wywnioskowałem z opowieści księdza, Litwini są wielkimi patriotami i bardzo szanują swój język. Litwini nie skazili swojego języka żadnymi brzydkimi wyrazami. Największymi u nich przekleństwami, obelgami są dwa wyrazy: „ropucha" i „żmija". Przekleństwo takie powiedziane pod czyimś adresem było niejednokrotnie przyczyną pozwu sądowego. Przez kilkadziesiąt minut ksiądz ciągnął swoją opowieść, rozśmieszając nas niekiedy do łez. Na przykład wtedy, gdy mówił o jednym ze swoich poprzedników, który chcąc nawiązać kontakt z Litwinami, tak szybko i dokładnie nauczył się języka litewskiego, że podczas jednego z nabożeństw „huknął" po litewsku „Anioł Pański". Ale ludzie w kościele zamiast zachwycać się, byli trochę skonsternowani, gdyż zamiast — „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi" usłyszeli — „Anioł Pański podrapał Pannie Maryi" (z czego sobie śpiewający, gorliwy ksiądz zdał sprawę już po fakcie!).

Na zakończenie spotkania z sympatycznym proboszczem padło pytanie: A ksiądz jest Polakiem czy Litwinem?

— Mój ojciec był Litwinem, matka Polką. I tak jak kochałem i szanowałem ojca, tak teraz koch im Litwę, a jak kochałem matkę, tak teraz kocham Polskę...

Konrad
(czł. LR)

REDAKCYJNA POCZTA

Spróbuj „zrzucić" niepotrzebne kilogramy

Julio! (nr 83 „ŚM"), ja też jestem gruba. Rozumiem bardzo dobrze Twój ból. Ale nie wolno się poddawać. Trzeba się zmobilizować i spróbować „zrzucić" nadmiar kilogramów. Ja właśnie poświęciłam wakacje na walkę z nadwagą. Naprawdę zeszczuplałam i czuję się o wiele lepiej. Tobie, Julio, też radzę to zrobić. Masz takie same szanse jak inni. Zrezygnuj z lodów, z zapiekanek i słodyczy. Staraj się jeść dużo owoców i jarzyn. Pieczywo jedz ciemne i niezbyt dużo. Unikaj potraw mącznych. Jeśli przy tym będziesz starała się przebywać dużo na świeżym powietrzu i w ruchu, to na pewno waga „drgnie". Dobrze też jest gimnastykować się codziennie. To są, Julio, wypróbowane metody. Spróbuj i Ty — może się uda. Trzymam za Ciebie kciuki.

Fleur

Przyjaciół można znaleźć wszędzie

Piszę w sprawie listu „Czy jest sposób na zdobycie przyjaciół?" (nr 84 „ŚM").

Droga „Kresko", nie załamuj się! Przecież Twoja „bratnia dusza" wcale nie musi być z Twojej klasy. Ja też skończyłam VI klasę, a moja przyjaciółka nawet nie chodzi do tej szkoły co ja. Po prostu jest moją sąsiadką.

Spróbuj „Kresko" znaleźć przyjaciółkę poza klasą, albo nawet tak jak ja poza szkołą. Nikt wtedy nie będzie Ci przeszkadzał w tej przyjaźni.

Życzę Ci dużo szczęścia!!!

Iwona

Wystarczają mi ciekawe rozmowy

Mam 15 lat i kolegę, który adoruje mnie od wielu miesięcy. Podobno kocha się we mnie. Proponował mi „chodzenie", ale ja nie bardzo wiem na czym to ma polegać. Spotykamy się dość często na angielskim, rozmawiamy wtedy, on odprowadza mnie do domu. To są bardzo sympatyczne i ciekawe rozmowy, ale nie wyobrażam sobie, co jeszcze innego mogłoby nas łączyć.

Dowiedziałam się od koleżanek, że mój kolega cierpi przeze mnie, bo go nie kocham. Czuję, że jestem jeszcze za młoda na miłość. Lubię mieć kolegów i kumpli. Co robić, żeby ten chłopak nie cierpiał przeze mnie? Przecież bardzo go lubię!

Gosia

To nie były kłamstwa!

Gdy byłam mała, strasznie kłamałam. Rodzice nie rozumieją tego, że teraz już tego nie robię i nadal mi nie wierzą.

Pomóżcie! Co mam robić, aby zdobyć zaufanie rodziców? Bardzo często oskarżają mnie, że kłamię, a przecież mówię im prawdę.

Kłamczucha

OD REDAKCJI: Rób to co robisz, a więc po prostu — NIE KŁAM. Przekonają się. Uwierzą! Naprawdę!

Małe dzieci często opowiadają „niestworzone rzeczy", „wymyślają", fantazjują — to są takie dziecięce kłamstwa, z których się... wyrasta.

Rodzice czasami nie dostrzegają tego wyrastania. Martwią się, są nieufni, bo chcą, aby ich dziecko nie było „kłamczuchem". Trzeba ich przekonać, trzeba zdobyć ich zaufanie. To musi trochę potrwać, niestety. (hm)

ZABAWA W POLOWANIE

Milicjant pełniący służbę był zdumiony: w drzwiach komisariatu stały dwie dziewczynki. Miały, tak na oko, dziesięć — dwanaście lat. Ubrane były w brudne sukienki; wyglądały na osoby, którym mydło i woda są raczej obce. Równie dziwne jak sam fakt zjawienia się ich w komisariacie było także to, co powiedziały: *„uciekłyśmy z kolonii, proszę nas aresztować”.*

Uciekły w trzecim dniu kolonii. Nie siliły się na jakąś skomplikowaną akcję. Ot, po prostu, którejś nocy wyskoczyły przez okno i zniknęły, zostawiając walizki z rzeczami. Ich nieobecność zauważono dopiero rano. Opiekunowie biegali jak szaleni po całym mieście, zajrzeli we wszystkie możliwe kąty — bez skutku. Kilka dni później obie dziewczynki znalazły się na wspomnianym posterunku.

Bardzo chciały jechać na tę kolonię. W ciągu roku zbyt wiele atrakcji nie miały — pieniądze szły głównie na jedzenie i wódkę dla rodziców, którym zupełnie obojętne było, co ich córki robią w czasie gdy oni zajmują się przyjmowaniem gości i kolejnymi libacjami.

Aż tu nagle trafiła się okazja, z której zadowoleni byli i rodzice, i dzieci. Pojawiła się możliwość wyjazdu na kolonię, której koszty w większej części miały być pokryte przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

„Pozbyć się dzieciaków na kilka tygodni z domu — toż to wspaniała okazja i święty spokój!” — uradzono i dziewczynki pojechały. W ogólnym przedwyjazdowym rozgardiaszu nie zwróciły na siebie uwagi pielęgniarki i wychowawczyni. Nikt nie zainteresował się, że obie miały w walizkach jakieś od dawna nie prane ubrania, stare buty i trochę brudnej bielizny. Poza tym zwyczajnie śmierdziały, co już podczas jazdy autobusem spowodowało złośliwe komentarze koleżanek.

Bomba wybuchła na miejscu, gdy przyszło do szczegółowego badania kolonistów przez pielęgniarkę w ośrodku zdrowia. U obu sióstr stwierdzono wszawicę. Jak ktoś potem złośliwie opowiadał — wszy było tyle, że można je było ustawiać w czwórki i zorganizować bardzo długą defiladę.

Śmiechom nie było końca. Koleżanki nabijały się ze „śmierdzieli”, dokuczały im, ile wlazło. Siostry odgryzały się jak tylko mogły, więc często dochodziło do kłótni, wyzwisk, bijatyk.

Wychowawcy nie bardzo wiedzieli, co zrobić z tym problemem. Ograniczyli się do gruntownego wyszorowania sióstr i prób łagodzenia konfliktów. Obie dziewczynki były coraz bardziej dyskryminowane; uciekano od nich jak od zadżumionych. Stanowiły żałosny widok — wiecznie zasmarkane, ciągle brudne, czochrające się po głowach, na których wszy wyczyniały niesamowite harce.

Wreszcie grono wychowawców znalazło wyjście: ostrzyc i zdezynfekować głowy. Nie była to najlepsza myśl — znalazłoby się kilka innych sposobów pozbycia się nieszczęsnych insektów, chociażby przez zastosowanie „Owanolu”, dostępnego w sklepach chemii gospodarczej, albo innego środka.

Noc poprzedzająca „wykonanie wyroku” była ostatnią, jaką siostry spędziły na kolonii.

Wróciły do domu. Dostały baty stosowne do wielkości przewinienia. Sędzią był oczywiście tata. Na pytanie, dlaczego nie zadbał o przyzwoity wygląd córek przed wyjazdem na kolonię, odparł, że przecież kazał im się umyć, tylko nie miał potem czasu sprawdzić czy to zrobiły. Stwierdził też, że skoro narobiły mu takiego wstydu przed ludźmi, to chyba weźmie łańcuch i przykuje je do nogi stołowej albo do kaloryfera i będzie miał wreszcie spokój. To, że sam był nieumyty, nieogolony i wyglądał na zawianego — jakoś mu nie przeszkadzało...

Za rok znów wakacje. Organizatorzy już dziś zarzekają się, że więcej obu sióstr na kolonię nie zabiorą, bo „z dzikuskami nie chcą pracować”. Tatuś stwierdził, że nawet gdyby mu dopłacano, to już nie zezwoli dzieciom na wyjazd, bo tylko mu wstyd przynoszą, poza tym co to za opieka, że można uciec z kolonii?

Pozostaje więc smutne, szare podwórko i zabawa w polowanie na wszy, gdy mocniej dokuczą.

★

Pamiętasz jej Byliście przecież na tej samej kolonii. Jeśli nie konkretnie z tymi dwiema dziewczynkami, to z kimś, kto je przypominał. Ty też należałeś do grona prześmiewców. Bawiło cię wszystko: zniszczone ubranie, łapczywe jedzenie podawanych posiłków, niechęć do dzielenia się czymkolwiek. A czy zauważyłeś może ich wzrok, gdy niezadowolony z tego, że na śniadanie był chleb z dżemem, a nie z szynką, cisnąłeś kanapką w ścianę? One zjadały wszystko do ostatniego okruszka i jeszcze oglądały się za dokładką. A wasz wychowawca — co zrobił, by pomóc tym dziewczynom? Czy wysilił się na cokolwiek innego niż szyderczy uśmiech, złośliwy komentarz i decyzję o ścięciu włosów?

A może było inaczej? Może bronił „śmierdzieli”, starał się im pomóc, chociażby przez wpojenie podstawowych nawyków higienicznych i uchronienie przed śmiechem takich jak ty? Może za własne pieniądze kupił im mydło, szczoteczkę do zębów? Pokazał, pomógł, przypilnował?

Sytuacja taka jak opisana zdarzyła się na konkretnej kolonii, ale mogła przecież zdarzyć się wszędzie. Przypomnij sobie, jak się zachowałeś. Czy jesteś bez winy?

JAROSŁAW MACHOWIAK

PIĘTNAŚCIE ZDZIWIEŃ „WRÓBELKA” (cz. II)

W poprzednim numerze poznaliśmy podróż drużyny artystycznej „Wróbelki” z Witnicy na Festiwal Teatrów Dziecięcych i Młodzieżowych w Holandii

Na zdjęciach:
Wróbelki wybrały się kiedyś na zwiedzanie parku i pałacu, ale napis przy bramie powiadomił ich, że teren jest prywatny i obcym wstęp wzbroniony...

Z czym kojarzy ci się Holandia? Z tulipanami, sabotami i wiatrakami oczywiście...

Fot. **archiwum**

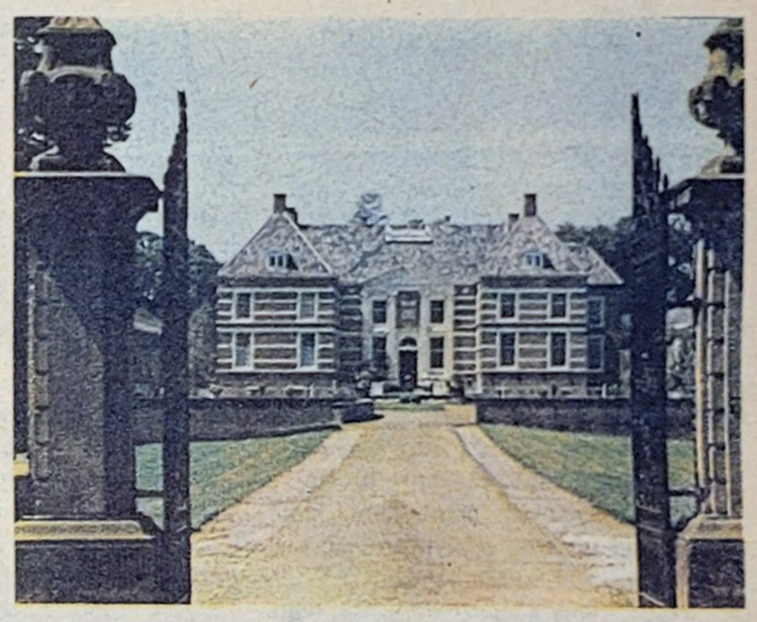

Zakwaterowani zostaliśmy w domach prywatnych. Gdy pierwszego dnia rozwożono nas do gospodarzy, okazało się, że nie wszyscy zmieszczą się do samochodu. Z pomocą pospieszył jeden z panów będących członkiem komitetu festiwalowego, który jak się później okazało był autentycznym baronem, co przy każdej okazji było tu podkreślane. Pan baron był młodym, wesołym człowiekiem, przedstawicielem mera miasta w komitecie. Druhna Ania — nasza opiekunka — ma pełne prawo do opowiadania, że po mieście woził ją jeden z tutejszych arystokratów!

W centrum Almelo znajduje się duży park, otoczony fosą, a w nim piękny pałac. Wybraliśmy się kiedyś, aby zwiedzić park i pałac. Przy bramie jedynego wejścia do parku powitał nas napis głoszący, że jest to teren prywatny i wstęp osobom postronnym jest wzbroniony. Mieszka tu pan graf, do którego także należy pobliski piękny dębowy las oraz kilka okolicznych wsi. To też było dość trudne do zrozumienia dla naszych harcerzy.

Czy można żyć bez pracy?

Jeden z Holendrów powiedział nam o panu grafie, że sam to on nie pracuje, ale jego wartość dla miasta polega na tym, że daje pracę innym. Spacerując po mieście natrafiliśmy na autentyczny meczet z minaretem! Takich okazji się nie pomija. Przed świątynią muzułmanów powitała nas grupa Turków. Jeden z nich polecił nam zdjąć obuwie i położyć na półkach w przedsionku, a następnie oprowadził nas po świątyni. Dowiedzieliśmy się przy okazji wielu niezwykle ciekawych wiadomości. Otóż w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych sprowadzono tu kilka tysięcy robotników tureckich, którzy zatrudnieni zostali w miejscowych fabrykach tekstylnych. W ostatnim dziesięcioleciu fabryki zostały zdemontowane, zwolniono pracowników fizycznych, pozostała tylko dyrekcja, która zajmuje się dostarczaniem surowca do Czechosłowacji i Turcji, gdzie znajdują się teraz hale fabryczne, w których pracują tamtejsi robotnicy. Okazało się to być o wiele bardziej zyskowne. Ale w ten sposób dwadzieścia pięć procent mieszkańców Almelo w wieku produkcyjnym znajduje się bez pracy. Żyją z zasiłków, które pozwalają wyżyć do pierwszego, ale które uniemożliwiają urządzenie sobie życia według planu realnego dla przeciętnego Holendra.

Program naszego pobytu, zawarty w specjalnie wydrukowanym informatorze, który nosiliśmy na sznurku zawieszonym na szyi, przewidywał, że pierwszy dzień świąt wielkanocnych spędzimy „na łonie rodziny” czyli z naszymi gospodarzami. Były oczywiście wielkanocne niespodzianki w postaci czekoladowych zajączków, podarki wraz z uroczystym śniadaniem oraz poszukiwania ukrytych w ogrodzie jajek. Program przewidywał udział wraz z rodzinami w imprezie określonej w informatorze: „służbą ekumeniczną dzieci”. Bardzo to było intrygujące i takim okazało się w istocie. Niektórych z nas zaprowadzono do kościoła na niezwykłe nabożeństwo ekumeniczne, odprawiane równocześnie przez trzech kapłanów różnych wyznań (dwóch mężczyzn i kobietę): katolickiego, ewangelickiego i baptystów. Przy wejściu wręczono nam okolicznościowe wydawnictwo, zawierające w trzech wersjach językowych teksty śpiewanych podczas nabożeństwa pieśni oraz czytanych fragmentów Biblii.

Wieczorem czekała nas następna niespodzianka: ognisko jakiego jeszcze w życiu nie widzieliśmy! Od wielu tygodni mieszkańcy Almelo zwozili na tradycyjne miejsce stare meble, wycięte krzewy, drzewa, gałęzie, z czego z pomocą dźwigu uformowano kilkunastometrowej wysokości stos. Z udziałem orkiestry dętej i honorowych gości nastąpił moment uroczystego podpalenia z kilku stron tego stosu i po kilkudziesięciu minutach rozszalał się żywioł, powodujący przy silnie wiejącym wietrze zawirowania dymu i iskier, w których popisywali się miejscowi śmiałkowie. Wiatr wiał dymy w kierunku miasta, które przez ten wieczór przesiąknięte było zapachem ogniska. W „ognisku” uczestniczyły tysiące mieszkańców Almelo.

Zdziwienia folklorystyczno-geograficzne

Gdy zwiedzaliśmy poldery, zadziwiły nas dwie rzeki płynące obok siebie w tym samym kierunku — jedna położona niżej, druga zaś kilka metrów wyżej. Okazało się, że ta niżej spełnia rolę kanału odwadniającego tereny położone w depresji, zaś ta z korytem usytuowanym wyżej, jest kanałem odprowadzającym wodę do morza. Słynnych holenderskich wiatraków widzieliśmy wiele; poczynając od małych wiatraczków poruszających mechanizmy odwadniające rowy na łąkach, poprzez te znane z podręczników i pocztówek, aż po nowoczesne, wysokie wieże z wielkimi potrójnymi skrzydłami uruchamiające prądnice. Zadziwiły nas dwie wiatrakowe kwestie. Dowiedzieliśmy się, że wiatraki potrafią mówić, a także okazało się, że w Holandii są nie tylko „holenderskie” wiatraki, ale także i takie same jak u nas, które dla nich też są holenderskimi. Z mową wiatraków to jest tak, że w zależności od ustawienia skrzydeł młynarz informował mieszkańców miejscowości o wydarzeniach w jego rodzinie i innych ważnych gospodarczo i społecznie sprawach...

Niespodzianki muzyczne

W nazwie naszego zespołu figuruje określenie: „teatrzyk muzyczny”. To do czegoś zobowiązuje, a tymczasem nie sądziliśmy, że istnieją katarynki na czterech kołach oraz nie wiedzieliśmy co to jest carillon. Ta ostatnia nazwa oznacza mechanizm zegarowy, uruchamiający system młoteczków, uderzających w różnie strojone dzwony. Inaczej mówiąc carillon to zegarynka gigant. Gigant, bo w grze uczestniczą normalne dzwony kościelne, zainstalowane na wieży kościoła i wygrywające przemyślną melodię. Holandia jest rekordzistką w posiadanych carillonach. Jeden z nich, zamontowany na wieży kościoła w Amsterdamie, obejmuje zestaw około pięćdziesięciu dzwonów! W Almelo widzieliśmy dwa carillony: jeden zamontowany na wieży kościoła, drugi na deptaku miejskim, z zestawem kilku dzwonów średniej wielkości, zespolonych z mechanizmem poruszającym paradę kukiełek. Zaś zaskoczenie katarynkowe polega na tym, że tutejsze katarynki mają rozmiary średniej wielkości organów kościelnych, zupełnie je przypominając. Na dodatek, podobnie jak w carillonie na deptaku, mechanizm uruchamia orkiestrę kukiełkowych lalek, które poruszają się w rytm kadryli, kankanów i walczyków.

Kończąc tę relację z pobytu w Holandii wypada nam jeszcze poinformować, że postaraliśmy się o to, aby dotrzeć w okolice Arnhem, gdzie podczas ostatniej wojny walczyli nasi rodacy, uczestnicząc w wyzwalaniu tego pięknego kraju. Odwiedziliśmy miejscowość Driel, gdzie znajduje się pomnik poświęcony polskim spadochroniarzom oraz położony po drugiej stronie Renu cmentarz wojskowy. Tu oddaliśmy hołd spoczywającym polskim żołnierzom oraz ich towarzyszom broni.

ZBIGNIEW CZARNUCH

BIU

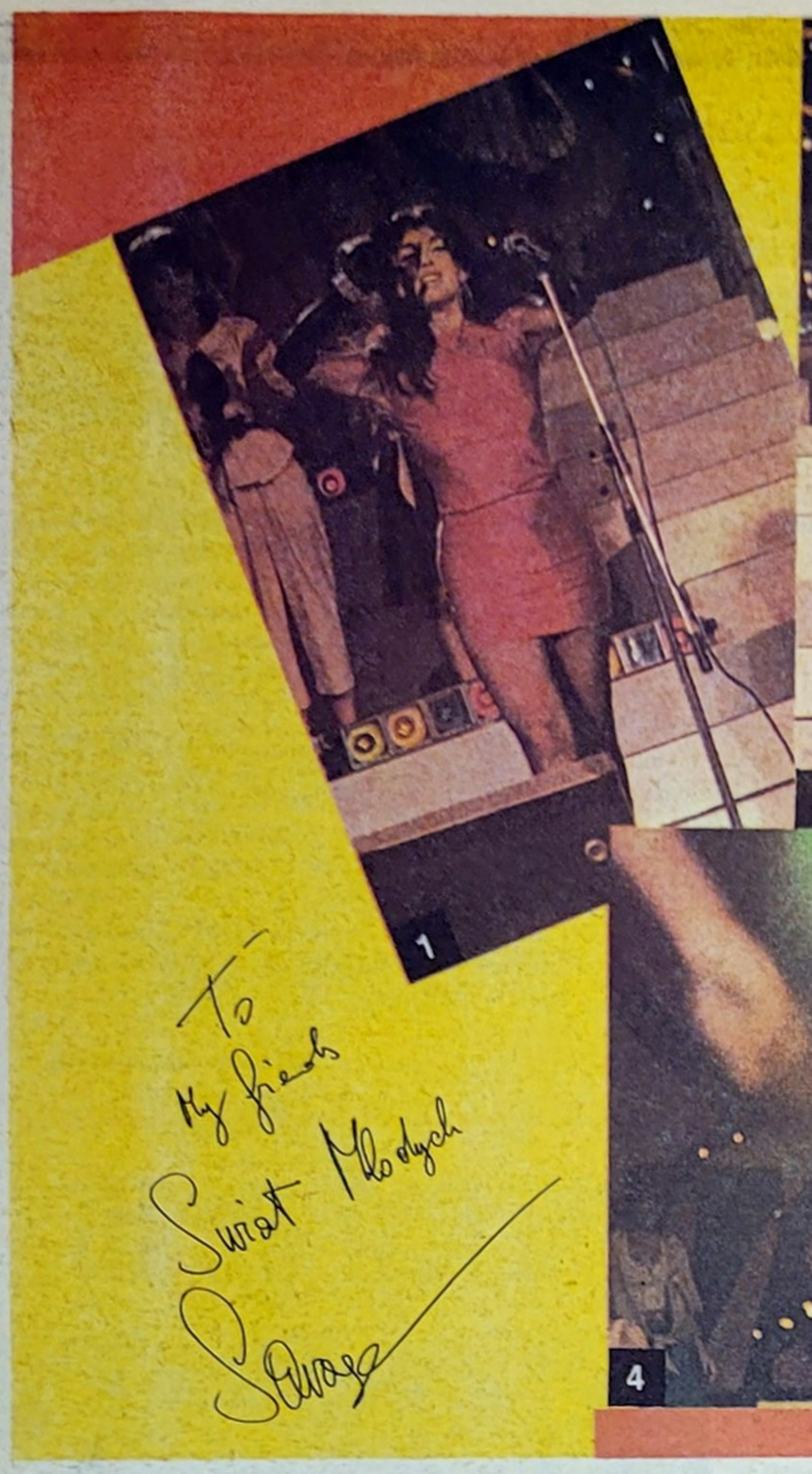

Takiej dyskoteki jeszcze nie prowadziłem! — wykrzyknął spontanicznie Marek Sierocki (cześć!) na zakończenie koncertu gwiazd Italo Disco, który odbył się w pełni lata w Sopocie. Wystąpili znani bywalcom dyskotek wykonawcy: **Savage** (fot. 4), duet **Radiorama** (fot. 3), **Ken Laszlo** (fot. 2), duet **Wish Key,** czyli Massimo i Sylvia oraz **Rose** (fot. 1). Wszyscy sprowadzeni prosto z Włoch z własnymi przebojami, które nagrywają od 3 lat w wytwórniach płytowych w Rzymie i Mediolanie.

Trzygodzinny koncert w sposób naturalny przekształcił się w dyskotekę-gigant. Gwiazdy spisały się na medal, melodie i rytmy same wpadały w ucho, a nogi i ciała — w takt dyskotekowego galopu wytupywanego przez pięciotysięczną widownię na odmalowanych właśnie świeżuteńko na biało ławkach Opery Leśnej. Nie było wprawdzie jasne, czy to skakanie na ławkach wliczono w słoną cenę (1 800 zł) biletu, ale już po kilku utworach nikt nie miał wątpliwości, że siedzieć tu się nie da.

— Jesteście piękni! Biutiful! — zapewniał rozentuzjazmowaną widownię zachwycony gorącą atmosferą Savage, którego kilkakrotnie zmuszano do bisów. — Biutiful! Biutiful! - te słowa jak miód sączyły się w uszy stu kandydatkom na MISS ITALO DISCO, zwerbowanym w ciągu dnia z całego Trójmiasta przez nagłośnioną „Nyskę"... Nic bowiem nie podnosi tak samopoczucia organizatorów różnych imprez, jak właśnie wybory MISS, toteż i tu odbyły się takowe. Wprawdzie i tu zdanie jurorów i publiczności nie zostało należycie uhonorowane, no i nikt do dziś nie wie, czy wybrano tę NAJ, ale przecież chodzi tylko o zabawę! Tak przynajmniej zawsze twierdzą same zainteresowane, a nikt im nie zaprzecza. Jeżeli więc chcą być za wszelką cenę podziwiane, a wszystko im jedno ZA CO — muszą ponieść ryzyko narażenia się na gwizdy, taksujące spojrzenia, złośliwe komentarze i niedżentelmeńskie uwagi. W końcu tego typu imprezy zawsze mniej lub więcej przypominają targi żywym towarem... Za to jeśli się powiedzie, można mignąć w telewizorze, zostać obfotografowaną przez fotoreporterów, uściśniętą i ucałowaną przez samego mister Rivera, a mister Lombardoni może wręczyć walkmana i bon dolarowy... Wiele kandydatek (i ich mam) uznało, że ten powiew wielkiego świata wart jest najżywszych wysiłków, toteż robiły co mogły, tworząc taneczne tło dla występujących solistów, ku uciesze widowni. Oj, było na co popatrzeć, było.

Szkoda tylko, że główny sprawca całego przedsięwzięcia nie dotrzymał wszystkich obietnic. Mniejsza o obietnice dane dziennikarzom, ale to naprawdę niеładnie, gdy się zaprasza 5 tysięcy osób na darmowy koncert na molo — i potem ów koncert przerywa się po 3 minutach, bo artyści muszą właśnie odjechać na lotnisko. Prawda, że niеładnie? No i tak po kolei parę rzeczy niеładnie wyszło, choć — przyznajemy — sama dyskoteka była biutiful.

Jedno nas teraz niepokoi — czy mamy poważnie potraktować obietnicę złożoną tejże pięciotysięcznej widowni, że wszystkie gwiazdy Italo Disco jesienią znów przybędą do Polski?...

GRAŻYNA SZROEDER
Zdjęcia: **MIECZYSŁAW WŁODARSKI**

NA TROPIE WZOROWYCH SKS

„OLIMP" Z GRODK

Wśród reprezentacji kilkudziesięciu Szkolnych Klubów Sportowych biorących udział w IV Ogólnopolskim Zlocie SKS-ów jedną z najsympatyczniejszych grup była ekipa ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Grodkowie, w województwie opolskim.

Prężna działalność klubu „Olimp" ze szkoły w Grodkowie zaczęła się przed piętnastu laty, gdy zjawił się tu nauczyciel wychowania fizycznego pan **Zdzisław Zielonka**. Był on utalentowanym piłkarzem ręcznym AZS Wrocław, ale na skutek ciężkiej kontuzji musiał zrezygnować z czynnego uprawiania sportu. Zdobył uprawnienia trenera II klasy piłki ręcznej i nożnej, i postanowił swoje niespełnione ambicje zrealizować w pracy z młodzieżą. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Z każdym rokiem SP 3 z Grodkowa stawała się coraz bardziej usportowioną szkołą, wygrywając rywalizację najpierw w mieście, a później, w wielu dyscyplinach, w województwie. Dziewięciokrotnie piłkarze ręczni wywalczyli mistrzostwo województwa opolskiego, także koszykarze i futboliści należeli do najlepszych. Na arenie ogólnopolskiej zawodnicy z Grodkowa sięgali po medale w piłce ręcznej na igrzyskach młodzieży szkolnej oraz na spartakiadach.

Ostatnie dwa sezony są dla SKS-u „Olimp" niezwykle udane. Dwukrotnie zwyciężył on w konkursie „Sport dla każdego" i dzięki temu reprezentował województwo opolskie na ogólnopolskich zlotach SKS-ów w Podgrodziu koło Szczecina. Sukcesy te nie były przypadkowe. Klub organizuje na terenie szkoły wiele akcji i konkursów. Przez cały rok trwa rywalizacja w szkolnych igrzyskach sportowych, wszystkie klasy współzawodniczą o miano najbardziej usportowionej, ogranizuje się plebiscyt na najlepszych sportowców szkoły i najlepszych sportowców szkół podstawowych z województwa. Wreszcie, cała młodzież z klas 5 — 8 bierze udział w dorocznym turnieju pod hasłem „Na olimpijskim szlaku". Ma on swoich bohaterów. Tegoroczny absolwent szkoły **Piotr Sudół** zwyciężył cztery razy pod rząd, wykazując się niemal bezbłędną wiedzą z historii olimpiad.

Dzięki sukcesom sportowym znalazły się pieniądze na rozbudowę bazy. Szkoła posiada piękną salę gimnastyczną o wymiarach 22 × 11 m — z balkonem, szatniami, natryskami; a także małą salkę, z której korzystają uczniowie młodszych klas. Przy szkole znajdują się boiska do koszykówki, piłki ręcznej i nożnej. Prawie w całości w czynie społecznym wybudowano stadion z żużlową bieżnią i boiskiem, na którym odbywają się przede wszystkim mecze piłki ręcznej. Takiego obiektu mogą pozazdrościć grodczanom prawie wszystkie szkoły w kraju. Również ze sprzętem sportowym nie ma kłopotów. Są wyniki — są także pieniądze na zakup dresów, trampek, piłek i na wyposażenie sal gimnastycznych. Każdy uczeń dostaje od szkoły nowy dres, który zawsze wisi w szatni czysty i gotowy do użytku na lekcje kultury fizycznej czy też treningi pozalekcyjne.

Tutejsi nauczyciele, wykazując się sporą przedsiębiorczością, nawiązali kontakty ze szkołami w Czechosłowacji i w NRD. Dzięki temu rokrocznie młodzież z Grodkowa jeździ tam na wakacje, a uczniowie stamtąd odwiedzają województwo opolskie. Sporym echem odbił się mecz wychowanków szkoły — znanych piłkarzy ręcznych (między innymi: Marek Pazdur, Tadeusz Chaładyn, Jan Ćwik, Henryk Mrowiec, Krzysztof Juwa) z drużyną „Gwardii" Opole. Dochód z tego spotkania (10 tysięcy złotych) przekazono na Gloria Victis — fundację dla byłych sportowców, którzy potrzbują materialnego wsparcia. Zaszczytny cel znalazł uznanie wśród miejscowych działaczy i władz, organizatorzy zamierzają co roku przeprowadzać podobne imprezy.

Na IV Zlot SKS-ów trener **Zdzisław Zielonka** przywiózł wyróżniających się członków zarządu klubu „Olimp". **Marek Ciach** i **Grzegorz Majewski** reprezentowali najpopularniejszą w szkole dyscyplinę — piłkę ręczną, **Marek Adamczyk** i **To-**

...TIFUL!

ITALO DISCO W POLSCE

...OWA

masz Wrona to czołowi lekkoatleci oraz **Alicja Skupnik** i **Agnieszka Wrona** — również piłkarki ręczne. Cała szóstka tworzyła zgraną paczkę, wyróżniając się humorem i dowcipem wśród innych grup. Spędzili oni w Podgrodziu niezapomniane dwa tygodnie, poznali wielu przyjaciół z różnych regionów Polski, z którymi nawiążą korespondencję. Mają nadzieję, że w przyszłym roku ponownie ich „Olimp" okaże się najlepszy w województwie i będą mogli spotkać się z kolegami i koleżankami w pięknym miasteczku młodzieżowym na ziemi szczecińskiej.

ANDRZEJ BACZYŃSKI
Fot. **W. Ziemniak**

Na zdjęciu
Zdzisław Zielonka ze swoimi zawodnikami na IV Ogólnopolskim Zlocie SKS-ów

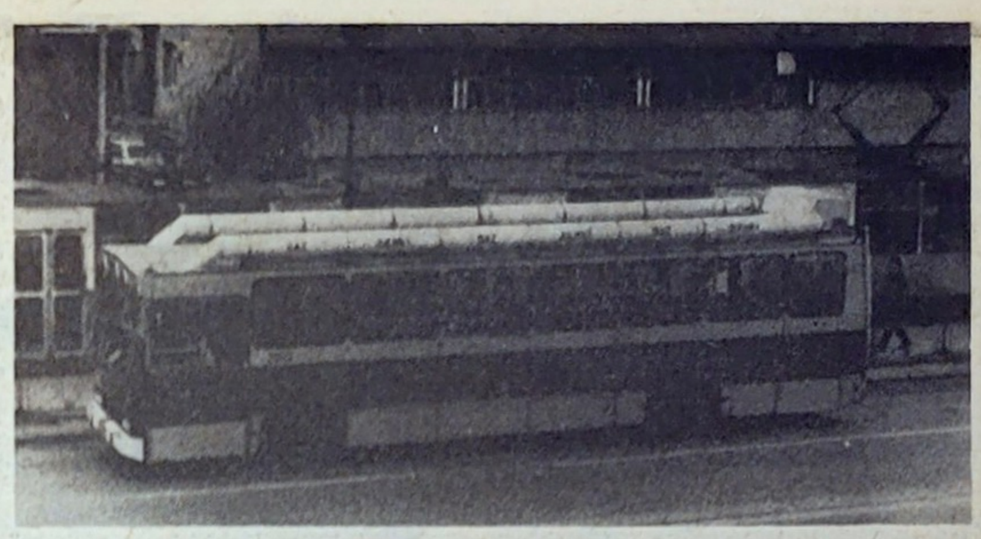

NA PEŁNYM GAZIE

Stacja „tankowania" znajduje się w Nowej Hucie, nie opodal elektrociepłowni Łęg. Zręczny manewr i „Berliet" staje tuż obok potężnych rur gazociągu przesyłowego. Kierowca podłącza gumowy przewód do kurka. Szum trwa kilkanaście minut. W tym czasie gaz wypełnia dwa wielkie zbiorniki na dachu autobusu. Można ruszać w następny kurs

Druga młodość wynalazku naszych dziadków

„Motory gazowe tem się różnią co do zasady od maszyn parowych, że zamieniają na pracę mechaniczną ciśnienie, wytwarzane skutkiem eksplozyi wybuchających mieszanin gazowych pomieszanych z powietrzem i we właściwym momencie zapalonych." — pisali autorzy ***„Księgi Wiadomości Pożytecznych"*** wydanej pod koniec XIX wieku. Kilkanaście lat później silniki gazowe zaczęto eksperymentalnie wykorzystywać w rozwijającym się wówczas przemyśle samochodowym. Z pomyślnym skutkiem zastosowano je na przykład w samochodach ciężarowych. I chociaż nigdy gazogeneratory nie stanowiły poważnej konkurencji dla silników spalinowych, to próby z wykorzystaniem taniego, gazowego paliwa podejmowano wielokrotnie, również w naszym kraju.

Po wojnie pod koniec lat 40. zupełnie serio rozpatrywano w Polsce pomysł budowy traktora napędzanego... gazem drzewnym. Projektanci tego niecodziennego pomysłu wyszli bowiem z założenia, że lasów mamy pod dostatkiem, a ropy jak na lekarstwo! Nasi specjaliści badali również możliwości wykorzystania w komunikacji gazu otrzymywanego z torfu, później gazu świetlnego. Wyniki były zachęcające. W czasie budowy Nowej Huty jeździły po Krakowie ciężarówki zasilane gazem koksowniczym. Pobierały one paliwo na dwóch specjalnych stacjach „Auto-Gaz". Jeszcze w latach 60. w Warszawie na Woli, naprzeciwko Zakładów im. Nowotki czynna była stacja pomp, w której sprężano gaz dla potrzeb transportu samochodowego. Potem nastał czas obfitości benzyny i uznano, że nie warto zawracać sobie głowy tańszym, ale bardziej kłopotliwym w eksploatacji gazem.

Jednak za granicą nie zarzucono prób wykorzystania tego pomysłu w praktyce. W 1977 roku paliwo gazowe zastosowano na kilku liniach autobusów miejskich w Moskwie. Od kilku lat w Grecji, Rumunii, Hiszpanii i Włoszech kursuje kilkanaście tysięcy taksówek z silnikami dwupaliwowymi. Obok benzyny wykorzystują one w czasie jazdy sprężony gaz ziemny. Zaletą tego rozwiązania jest nie tylko oszczędność paliwa, ale także ochrona środowiska przed spalinami.

Wersja profesora Zabłockiego

Specjaliści z Zakładu Silników Wysokoprężnych Politechniki Krakowskiej prace nad wykorzystaniem gazu o niskim ciśnieniu do silników spalinowych rozpoczęli przed kilku laty. Rezultatem wysiłków trzyosobowego zespołu kierowanego przez prof. Mariana Zabłockiego było zastosowanie paliwa gazowego w sprężarce, która do dzisiaj używana jest w Krakowskich Zakładach Gazowniczych. Sukces ten zachęcił krakowskich naukowców do zastosowania tego pomysłu w komunikacji.

— *Opracowaliśmy nowe rozwiązanie techniczne starej zasady. Główną jego zaletą jest to, że nie wymaga budowy importowanych stacji sprężarkowych. Koszt jednej takiej stacji wynosi obecnie 400 tysięcy dolarów. Pojazdy, gdzie zastosowano nasze urządzenie przystosowane są do pobierania gazu pod ciśnieniem 30–40 atm, czyli takim, jak w zwykłych kuchenkach gazowych. Jedynym utrudnieniem jest to, że zawór gazu nie może być oddalony od trasy jazdy więcej niż 100 kilometrów* — mówi inż. Adam Bokwa.

Instalacja gazowa nie jest urządzeniem skomplikowanym. Składa się z zestawu reduktorów obniżających ciśnienie układu sterowania, pompy wtryskowej oraz mieszalnika. Konstrukcja silnika pozostaje nienaruszona. Zasilany jest on dwoma rodzajami paliwa: tradycyjnie stosowanym olejem napędowym oraz gazem znajdującym się w umieszczonych na dachu dwóch zbiornikach o pojemności ok. 1,5 m³. Ropa niezbędna jest do zapalenia w cylindrze silnika mieszanki gazowo-powietrznej, natomiast gaz zasysany jest w trakcie jazdy. Badania wykazały, że oszczędza się dzięki temu około 70% oleju napędowego! Przy pełnym obciążeniu autobus może przejechać 120 km bez potrzeby uzupełniania gazowych pojemników.

Prototyp autobusu wspomaganego napędem gazowym od października ubiegłego roku odbywa regularne kursy po Krakowie. Bez poważniejszej awarii przejechał już ponad 10 tysięcy kilometrów. Aby sprawdzić jak spisuje się w warunkach rzeczywistych, każdego dnia jeździ na innej linii komunikacyjnej, na razie jedynie ze sztucznym obciążeniem. Do normalnej eksploatacji wejdzie dopiero po zakończeniu. Wówczas planuje się umieszczenie na niektórych pętlach autobusowych specjalnych zaworów umożliwiających „tankowanie" gazu.

— *Nasze rozwiązanie jest bardziej bezpieczne niż tradycyjny silnik benzynowy. Zagrożenie wybuchu gazu istnieje jedynie w pomieszczeniach zamkniętych. Gdy zbiorniki znajdują się na dachu, wydostający się przez ewentualne nieszczelności gaz po prostu ulatnia się do atmosfery, nie tworząc mieszanki wybuchowej. Natomiast zawory instalacji — jak wykazywały badania — bez najmniejszego uszczerbku wytrzymują drgania podczas jazdy* — uspokaja inż. Henryk Adles, jeden z współautorów gazowego urządzenia.

Instalacja gazowa ma uniwersalne zastosowanie. Można ją wykorzystywać we wszystkich typowych silnikach wysokoprężnych. Obecnie na stanowisku badawczym Politechniki Krakowskiej przystąpiono do prac nad zaadaptowaniem do tego celu samochodu ciężarowego „Kamaz". Zbiorniki do magazynowania gazu znajdują się między kabiną a skrzynią ładunkową. Myśli się także o zbudowaniu prototypu pojazdu, w którym zbiorniki byłyby umieszczone w dwukołowym wózku ciągniętym za autobusem. Tak i dziwny na pierwszy rzut oka pomysł zastosował na przykład renomowany „Mercedes" w jednej z wersji swojego samochodu elektrycznego. Bateria akumulatorowa znajduje się w specjalnej przyczepce, która nie utrudnia zbytnio manewrowania na jezdni.

Naukowcy krakowscy są zdania, że ich rozwiązanie może być z powodzeniem wykorzystane w kilkudziesięciu miastach południowo-wschodniej Polski, w pobliżu których przebiega nitka gazociągu przemysłowego. Jego upowszechnienie jest korzystne nie tylko ze względów ekonomicznych (koszty użytkowania wspomaganego gazem silnika są o jedną trzecią tańsze niż tradycyjnego) oraz oszczędności deficytowego paliwa. Równie ważną sprawą jest zmniejszenie zadymienia i toksyczności wydalanych podczas jazdy spalin.

Znane powiedzenie: „gaz do dechy" nabiera w tym kontekście nowego znaczenia.

JUSTYN OPARA

Na zdjęciu: ***Prototyp autobusu wspomaganego paliwem gazowym od października ubiegłego roku odbywa doświadczalne kursy po Krakowie.***

Fot. **Adam Bokwa**

I znów MICHAEL J. FOX

GWIAZDOZBIÓR

Czyżby druga fala popularności filmu R. Zameckisa „Powrót do przyszłości"? W co drugim liście dopominacie się o sylwetkę Michaela J. Foxa. Powróćmy więc... do przeszłości, film bowiem już od roku gości na naszych ekranach, a w większych kinach już się nawet „zgrał".

Michael — obecnie 25-letni już Kanadyjczyk stał się hollywoodzką gwiazdą pierwszej wody, choć jak to z Kanadyjczykami bywa — w dzieciństwie marzył, by zostać słynnym hokeistą i niejedną kość przetrącił sobie uprawiając ten sport. Scena szkolnego teatru w Vancouver obudziła w nim jednak pasję aktorską. Zaczął myśleć poważnie o tym zawodzie w przyszłości. Ojciec Bill — zawodowy wojskowy i matka zajmująca się w dużej firmie rachunkowością uznali jego pomysł za szalony. Jego dwie siostry i brat nie mieli aż takich ambicji... Gdy jednak załatwił sobie pierwsze bezpłatne lekcje gry u starszego kolegi studiującego aktorstwo i całkowicie „opuścił się" w szkole, stwierdzili, że sprawa jest poważna. Po naradzie rodzinnej ojciec zabrał upartego siedemnastolatka (wówczas) i pojechał z nim do Hollywood. Zatrzymali się początkowo w hotelu, potem wynajął mu mieszkanko i pomógł w jakim takim urządzeniu się. Następnie wręczył mu „kapitał zakładowy" — 3000 dolarów, życzył szczęścia na nowej drodze i wrócił do reszty rodziny. Młody człowiek część pieniędzy poświęcił na kursy aktorskie, a za resztę żył sobie całkiem wesoło. Niestety, nie na długo mu starczyło. W niedługim czasie „dorobił się" — 30 tys. długów, zmuszony był więc wyprzedawać meble i swój sprzęt muzyczny. A oferty, których oczekiwał — nie nadchodziły. W końcu żywił się, jak wspomina, wyłącznie spaghetti i fasolą, przesiadywał w domu, niczym zakonnik, godzinami wpatrując się w milczący telefon.

W końcu zadzwonił! Jego zdjęcie (rozesłał je do wszelkich możliwych agencji) trafiło do rąk producentów serialu TV „Więzy rodzinne". Mimo biedy, jaką cierpiał wahał się czy przyjąć rolę Alexa — „grzecznego", wręcz staromodnego w poglądach chłopca — tak obcy był mu sposób myślenia tego bohatera. Ale nieprzyjęcie tej roli oznaczałoby powrót do rodziny z niczym. Było mu wstyd. Powiedział więc „tak". Z tej okazji zamówił sobie w barze na przeciwko „drogie" danie — kurczaka za 1 dolara 60 centów. Zjadł go... na kredyt.

Od tej chwili po latach chudych nadeszły tłuste. Serial — tasiemiec i jego wyglądający na 15-latka bohater spodobał się Amerykanom ogromnie. A potem była rola otwierająca mu przyszłość — właśnie w „Powrocie do przyszłości" Roberta Zameckisa. Otrzymał ją... przypadkiem. Reżyser realizował już film z zupełnie kimś innym — Erikiem Stolzem. Po paru tygodniach przerwał jednak zdjęcia, bo ten aktor mu nie odpowiadał. Zaangażował Michaela, który zwrócił jego uwagę w „Więzach rodzinnych".

Niedawno bezrobotny aktor dziś ma miliony fanów i do 1988 r. korzystny kontrakt z wytwórnią. W propozycjach przebiera. Zagrał np. w „Wilczku klasowym" chłopca, który przemienia się w dobrodusznego wilkołaka. Film cieszył się powodzeniem. Producenci chcieli więc nakręcić jego kolejną część, Ale Michael okazał się już zbyt „drogi".

Kolejne jego filmy to „Prywatne sprawy" Herberta Rosse i „Urodzony w USA" Paula Schrodera. W tym ostatnim filmie zagrał rockowego muzyka. Piosenkę dla niego napisał sam Bruce Springsteen.

Jego ostatni film to „Bright Lights, Big City". Gra w nim uzależnionego od kokainy dziennikarza. Jest nieduży (1,62 cm) — a jednak ogromnie podoba się dziewczynom. Miał więc kilka poważnych flirtów, ale żadna nie doprowadziła go do ołtarza. Choć romans z koleżanką po fachu Nancy McKeon wyglądał poważnie... Dziś Michael twierdzi, że miała szczęście, bo żona nie będzie z nim miała łatwego życia... Mieszka teraz sam w wygodnym własnym ranczo w Laurel Canyon — towarzyszą mu jedynie dwa psy: dalmatyńczyk i bulterier. Dom jest przytulny, szczególnie — wyłożona cedrowym drewnem łazienka i salonik z kominkiem. Za domem basen i piękny ogród. W garażu błyszczący jeep, czarny Nissan 300 Zx Turbo, a od niedawna do jego „parku maszyn" należy też wyśnione w dzieciństwie czarne Ferrari za 140 tys. marek. Na co dzień chodzi w dżinsach, standardowych koszulkach i małej, śmiesznej czapeczce, ale we fraku, w którym wystąpił podczas uroczystości wręczania Oscarów, wyglądał olśniewająco.

Dawniej rozrzutny i lekkomyślny, dziś mówi: *Mogę kupić sobie różne rzeczy, ale nie wyrzucam forsy przez okno. Ferrari to po prostu marzenie młodości.* Pytany o problemy — odpowiada: *Nie zaszkodziłoby mi parę centymetrów wzrostu więcej, ale nie mam kompleksów. To problem producentów, by dobrali mi partnerkę, która nie będzie przerastać mnie o głowę. Natomiast walczę z tuszą. Strasznie boję się drugiego podbródka. Odmawiam więc sobie wielu rzeczy.*

Nic dziwnego, chłopięca twarz wciąż jest wielkim atutem, choć ostatnia rola wskazuje, że myśli już poważnie o zmianie stylu...

(eb)

Fot. **archiwum**

DOM MODY świata młodych

A może by tak nowy pulowerek

.... sobie wydziergać! Tydzień temu pisałam, że zestawienie czarnego i białego stwarza bardzo wiele bardzo różnorodnych możliwości ciuchowych. Jedna z nich to możliwość dziergadlana — czarno-białe pulowerki. Może ich być całe mnóstwo, łatwiejsze i trudniejsze w robocie — zależnie od umiejętności w machaniu drutami.

Oczywiście najbardziej stylowe są kompozycje bardzo... pogmatwane (geometrycznie), ale kto sobie rady z takimi skomplikowanymi wzorami może nie dać, niech raczej wybierze coś prostszego. W końcu zwyczajne paski (a to już jest prymityw, jeśli chodzi o robotę na drutach) to też kompozycja geometryczna, a nikt przecież nie powiedział, że wszystkie paski mają być identycznej szerokości — jak się zgrabnie pomiesza węższe z szerszymi, może wyjść coś naprawdę bardzo efektownego. Poza tym są jeszcze różne lamówki, rzadko ostatnio w dzianinach jakoś używane, a przecież bardzo pięknie się prezentujące. Warto o nich pamiętać.

A przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, żeby przed rozpoczęciem robótki sprawdzić, czy przypadkiem czarna włóczka nie fa buje. Jeśli tak jest (a zdarza się, zdarza), niestety — z robótki nici, w ogóle zaczynać nie warto, zanim się człowiek nie zaopatrzy w surowce odpowiadające wymogom jakościowym dzieła. Bo dzieło ma być super, no nie?!

RIUSZKA

dawno... niedawno...

„Czarny wtorek" demokracji

11 września 1973 roku, w wiosenny, pogodny dzień Ameryka Łacińska przeżyła szok, choć zdawałoby się, przywykła już do burzliwych i krwawych wypadków politycznych, do nieustannych zamachów stanu, wojen domowych, waśni...

Owego to dnia bowiem armia Chile obaliła legalnego prezydenta — **Salvadore Allende Gossensa**, od października 1970 roku rządzącego tym najdłuższym krajem na świecie.

W samym fakcie wojskowego zamachu stanu nie byłoby nic dziwnego, jest to ulubiony scenariusz polityczny zmiany rządu w tym rejonie świata. A jednak... Chile od dziesiątków lat stanowiło chlubny w tym względzie wyjątek, armia dochowywała wierności konstytucji i legalnie wybranej władzy. W grudniu 1972 roku prezydent Allende miał podstawy, by powiedzieć: *„Nigdy chilijskie siły zbrojne nie zdecydują się na hańbiące wystąpienie przeciwko władzy cywilnej; Chile nie jest republiką bananową"*. Omylił się... Nie to jednak w tej sprawie było najtragiczniejsze. Najtragiczniejsze było bowiem to, że brutalnie został przerwany eksperyment pod nazwą **„parlamentarna droga do socjalizmu"**. Allende został wybrany prezydentem jako przywódca ugrupowania **Unitad Popular**, czyli Frontu Jedności Ludowej, zrzeszającego m.in. komunistów, socjalistów, radykalnych chrześcjańskich demokratów — słowem zwolenników radykalnych reform społecznych i politycznych o obliczu wyraźnie socjalistycznym. Sam natomiast był konsekwentnym marksistą, m.in. sekretarzem generalnym Partii Socjalistycznej; był także osobistym przyjacielem Fidela Castro, „Che" Guevary, innych lewicowych polityków amerykańskich. Jego filozofią polityczną była teza, iż droga do socjalistycznych przemian na kontynencie południowoamerykańskim niekoniecznie wieść musi przez rewolucję, tak jak stało się na Kubie; że może to być droga wiodąca przez zwycięskie wybory parlamentarne. I już wydawało się, że miał rację, kiedy strzały w pałacu prezydenckim La Moneda nadziei tej położyły kres. W ostatnim przemówieniu do narodu powiedział: *„Oświadczam, że nie ustąpię ze stanowiska i będę bronił wszelkimi dostępnymi środkami władzy, którą powierzył mi naród. Jestem zdecydowany (...) poświęcić swe życie, pozostawiając historii wystawienie świadectwa hańby tym, którzy mają siłę, ale nie mają racji"*.

Tak się też stało. Allende zginął, ale *„murio en su ley"* — „umarł w swoim prawie". Zginęła też demokracja chilijska, a junta **Augusto Pinocheta** jest po dziś dzień symbolem bezprawia i okrutnej dyktatury.

SZPERACZ

PHOBOS I DEIMOS

Mars posiada dwa naturalne księżyce (Phobos i Deimos), które odkrył w drugiej połowie XIX wieku astronom amerykański Asaph Hall (1829–1907), ówczesny dyrektor obserwatorium w Waszyngtonie. Interesujące jest to, że ponad dwa i pół wieku przed ich odkryciem Jan Kepler wystąpił ze śmiałym przypuszczeniem, iż Mars powinien mieć dwa księżyce. Przypuszczenie to nie miało jednak żadnego uzasadnienia naukowego, oparte było jedynie na „harmonii liczb", w którą za przykładem starożytnych filozofów ciągle jeszcze wierzono.

Układ marsjańskich księżyców jest bardzo mały w porównaniu z innymi układami, najmniejszy zresztą, jaki znamy w systemie planetarnym Słońca. Odnosi się to nie tylko do średnic samych księżyców, ale także do rozmiarów ich orbit.

Dokładne pomiary wykazały, że w średniej opozycji Phobos świeci jak gwiazda 11,5 wielkości gwiazdowej, a jasność Deimosa wynosi tylko 13,0 wielkości gwiazdowej. Oba księżyce są nieregularne, elipsoidowate, podobne kształtem do bulw ziemniaczanych. Phobos posiada bryłę o rozmiarach 27 × 21 km. Deimos zaś 15 × 12 km. Phobos porusza się po orbicie w średniej odległości 9 370 km od środka Marsa. Wskutek jednak eliptycznej orbity może się zbliżać na odległość 5 800 km. Zdarza się to tylko wówczas gdy świeci blisko zenitu. Po orbicie Phobos porusza się bardzo szybko i na dokonanie pełnego obiegu dookoła Marsa potrzebuje 7 godz. 39 min. i 13 sek. Obiega zatem macierzystą planetę szybciej niż ta obraca się wokół swej osi, co jest wyjątkowym zjawiskiem w systemie planetarnym Słońca.

Średnia odległość Deimosa od środka Marsa wynosi 23 520 km, a więc krąży on nad nim znacznie wyżej niż Phobos i na jeden obieg dookoła Marsa potrzebuje 30 godz. 17 min. i 55 sek.

Bardzo częstymi zjawiskami na marsjańskim niebie są zaćmienia księżyców przez cień Marsa, ponieważ obiegają go w niewielkiej odległości.

Po raz pierwszy udało się sfotografować tarczę Phobosa w roku 1969 za pomocą amerykańskiej sondy „Mariner 7". Ta niezwykle interesująca fotografia była wykonana w momencie, kiedy sonda znajdowała się około 130 tys. km od powierzchni Marsa. Na podstawie tej fotografii uczeni stwierdzili, że Phobos ma nieregularny, nieco eliptyczny kształt. A zatem nie powstał w wyniku oderwania się materii od Marsa, ale najprawdopodobniej został schwytany przez jego pole grawitacyjne.

Więcej jeszcze danych o księżycach Marsa uzyskano w roku 1972 za pomocą sondy „Mariner 9". Jej kamery przekazały na Ziemię obrazy, które już w przekonywający sposób dowiodły, że oba marsjańskie księżyce mają nieregularne kształty.

Marsjańskie księżyce — jak to wykazały badania wykonane za pomocą „Marinera 9" — odbijają zaledwie 5–7 procent światła słonecznego, czyli nie więcej niż „morza" na Księżycu. Powierzchnie marsjańskich księżyców są najprawdopodobniej pokryte niezliczoną liczbą mikroskopijnych kraterów, nie wypełnionych jednak pyłem — jak to ma miejsce w przypadku naszego Księżyca — i dlatego tak słabo odbijają światło słoneczne.

Artur Kowalski
ul. Zielińskiego 60/36
53-534 Wrocław

TOMIK

Wszystko wskazuje na to, że w najbliższych latach Mars i jego dwa małe księżyce staną się poligonem intensywnych badań. Planowane jest przecież wysłanie radzieckich sond „Fobos" już w przyszłym roku. Również NASA zamierza wysłać bezzałogowy statek kosmiczny w kierunku Czerwonej Planety. Mało tego, rozważany jest już dziś projekt ekspedycji załogowej na Marsa. Prawdopodobnie nie nastąpi to w tym stuleciu, ale o tak wielkim przedsięwzięciu trzeba myśleć i planować już wcześniej. Ostatnio z projektem międzynarodowej ekspedycji marsjańskiej wystąpił znany amerykański uczony prof. Carl Sagan (napiszemy o tym wkrótce). Stąd też i w TOMIKU znajdziecie więcej materiałów poświęconych tej sąsiadującej z Ziemią planecie.

PREZES

Tak wyglądają księżyce Marsa sfotografowane przez kamery sondy automatycznej „Viking-Orbiter". Od tej sondy oddzielił się aparat lądujący, który penetrował powierzchnię planety, natomiast „Orbiter", krążąc po orbicie wokółmarsjańskiej wykonywał zdjęcia powierzchni Czerwonej Planety, a także jej księżyców — Phobosa (fot. 1) i Deimosa (fot. 2). Szczególnie na zdjęciu Phobosa widać, iż zostało ono „złożone" z mniejszych fragmentów

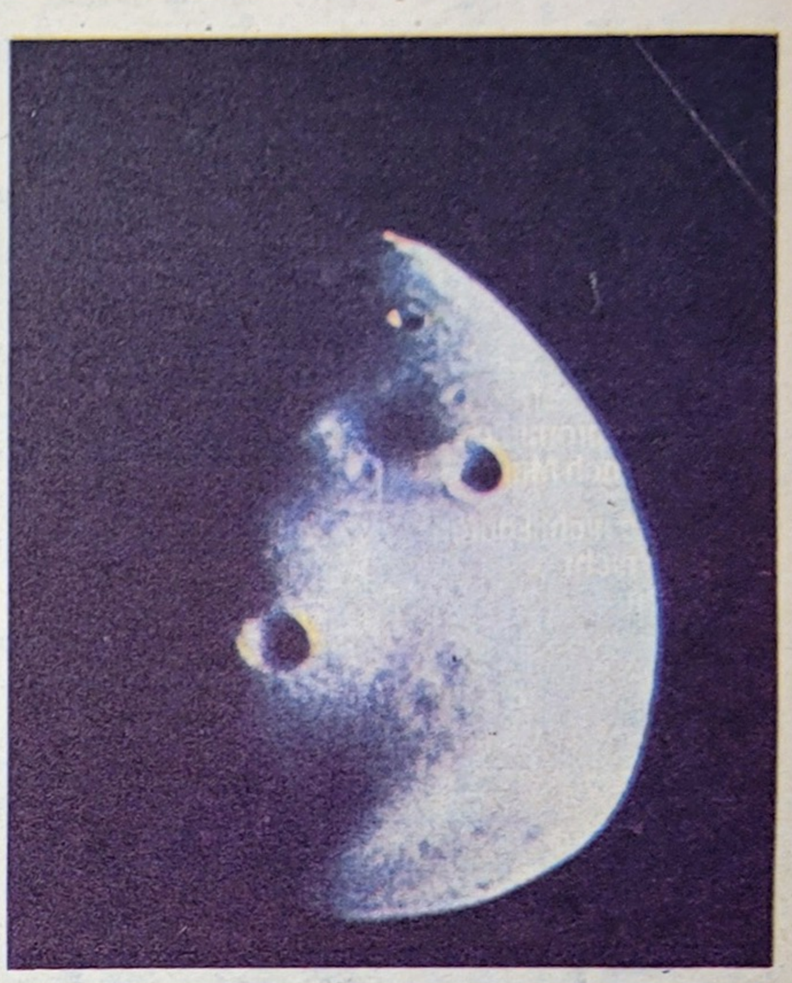

NASA PROJEKTUJE BEZZAŁOGOWĄ WYPRAWĘ NA MARSA

W ramach realizacji amerykańskich programów kosmicznych odbyło się niedawno spotkanie kierownictwa Amerykańskiej Agencji Aeronautyki i Badania Przestrzeni Kosmicznej (NASA) z przedstawicielami czołowych firm produkujących urządzenia mające zastosowanie w badaniach kosmosu. Omawiano propozycję wyprawy na Marsa. Amerykanie zamierzają wysłać w kierunku Marsa bezzałogowy statek kosmiczny. Poruszając się po powierzchni Czerwonej Planety będzie on w stanie pobrać próbki skał i minerałów, których analiza dostarczy bardziej szczegółowych informacji o naszym sąsiedzie w Układzie Słonecznym.

W trakcie spotkania wyrażano niepokój o losy dalszych amerykańskich przedsięwzięć astronautycznych. Jak się okazuje daleko zaawansowane plany zrealizowania wyprawy na Marsa ma ZSRR (na przełomie obecnego i przyszłego wieku). W przyszłym roku ma rozpocząć się misja radzickiej sondy kosmicznej „Fobos" w kierunku Marsa. Przewiduje się zbadanie jednego z satelitów tej planety. Według komentarzy agencji zachodnich po katastrofie promu „Challanger" uległy zahamowaniu amerykańskie plany eksploatacji kosmosu, w tym również badania Marsa. Na rok 1990 zakładano zrealizowanie misji kosmicznej, której celem byłoby zbadanie atmosfery marsjańskiej i sporządzenie dokładnej mapy planety. Obecnie przesunięto termin tego przedsięwzięcia na rok 1992. Budowa urządzeń i aparatury mających wziąć udział w wyprawie i lądowaniu na Marsie nastąpiłoby za 6 lat. Natomiast start w kierunku Czerwonego Globu nastąpiłby w 1998 r.

Karol Lebiedziewicz
10-559 Olsztyn
ul. Żołnierska 12A/13

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Chcę kupić lunetę lub teleskop powiększający ok. 50 razy lub więcej. Rzecz jasna zapłacę gotówką. Pragnę także otrzymać od kolegów o podobnych zainteresowaniach dwa komiksy „SF" pt. „Lądowanie w Andach" oraz „Ludzie i potwory". W zamian oferuję przygody Kajka i Kokosza — część pt. „Szkoła latania", „Cudowny lek", „Wielki turniej". Z góry dziękuję za pomoc. **Wiesław Abramczyk**, ul. Wianek 11/26, 39-400 Tarnobrzeg

Jesteśmy dwie — Joanna i Marta. Mamy obie po 11 lat. Założyłyśmy Towarzystwo Badaczy Latających Talerzy — TBLT. Kto chce napisać do TBLT niech napisze, przysyłając zwrotną kopertę i znaczek. Piszcie pod adresem: **Joanna Nalewajko,** ul. Gwiaździsta 31/93, 01-814, Warszawa lub **Marta Cieśla,** ul. Gwiaździsta 29/159, 01-814 Warszawa.

Artur Borowski (13 lat), 11-735 Woźnice, woj. suwalskie — nawiąże korespondencję z osobami interesującymi się astronomią i fantastyką naukową.

Wojciech Kasznia, 42-256 Olsztyn, ul. Kuhna 52, za czasopisma: „Fantastyka" — 4, 6, 7, 8/83; 9, 11/86; 1, 2/87; „Mały Modelarz" — 11/81, 1/82; „Alfa 7"; „Astronautyka" — 6/85; 1, 4, 5, 6/86; 1/87; „Modelarz" — 6/77; 3/80; 4/84; 11, 12/85; 12/86 pragnie otrzymać: „Atlas nieba" (ewentualnie pożyczyć w celu zrobienia odbitki ksero), „Amatorski teleskop zwierciadlany" lub inne książki na ten temat.

Uwaga, pisząc do Kącika Korespondentów podaj swój dokładny adres, wiek oraz krótko sprecyzowane zainteresowania. Tomik nie bierze odpowiedzialności za prowadzone między Czytelnikami transakcje i wymiany.

panią obudziłam. Ale to ten sen tak mnie przeraził. W dodatku nie wiem właściwie, co mi się śniło... tylko wiem, że to było coś niedobrego.

— To dobrze, że pani już nie pamięta...

— Nie, to wcale nie jest dobrze, bo to chodziło o Adasia. Coś się z nim działo niedobrego...

Masz ci los — pomyślała Marzena — kochany Adaś szaleje, a ta biedulka ledwie żyje i ma jakieś stany lękowe. A głośno, aby przywrócić równowagę Celinie, powiedziała: — Proszę się nie przejmować snami. Nic mu się z pewnością nie mogło stać, bo ja bym też na pewno o tym wiedziała.

Jednak nie była to właściwa odzywka. Celina spojrzała na nią złym okiem. Wcale jej się nie podobało to dzielenie się z kimkolwiek przeczuciami na temat Adasia. Ale zaraz sama siebie zgromiła, że przecież nie może być tak zazdrosna, że to przecież dobrze, że Marzena też się o niego troszczy. Więc spytała ufnie:

— Sądzi pani...

— Oczywiście, na pewno wszystko jest w porządku. — I żeby odwrócić myśli starszej pani od spraw tajemniczych, mistycznych i niepokojących, zmieniła temat, powiedziała wesoło: Mnie się zdaje, że pani mówiła mi dziś po imieniu. Więc w ogóle tak chyba byłoby lepiej, nie uważa pani?

Mimo, że powiedziane to było tak lekko i swobodnie, Celina traktuje sprawę jakoś bardziej serio, uważa to za jakiś ważny moment w ich wzajemnych stosunkach. — Tak — oświadczyła uroczyście po sekundzie wahania — oczywiście, że tak uważam, moje dziecko.

A co dalej? Patrzą na siebie zażenowane, bo powinien teraz nastąpić jakiś ciąg dalszy. Ale jaki? Obydwie nie bardzo to wiedzą.

Rzucić się jej na szyję — myśli Marzena. — Brrr. Byłoby to ohydnie szmirowate. Po prostu ordynarne. Zanadto ją mimo wszystko lubię, żeby się puszczać na taką marną komedię. Więc co?

Pogłaskać ją po głowie? — myśli Celina. — Zachować się jak dobra starsza pani z dawnej, sentymentalnej powieści dla panienek? Przecież to straszne. Nie zdobędę się na to. Zresztą byłaby to idiotyczna scena. Ale trzeba przecież to jakoś pokwitować!

Spogląda spod oka na Marzenę i nagle o dziwo, widzi w jej lekko zmrużonych oczach małą iskierkę humoru. Ależ tak! przecież to po prostu śmieszne!

Wyzwalający śmiech ogarnia je obie. Jak to dobrze, że zrozumiały się i omijają trudny moment. Już bez żadnego skrępowania obejmują się, jak koleżanki z klasy, wymieniając pobieżne pocałunki. — Ale — mówi Celina zdyszanym od śmiechu głosem — ale i ty mów mi po imieniu.

— Dobrze, oczywiście, Celinko!

I już po chwili leżą obie w swych łóżkach, zmęczone napięciem, rozluźnione po śmiechu i zasypiają natychmiast, mocnym, uzdrawiającym snem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jednak nazajutrz Marzena miała w stosunku do Celiny trochę nieczyste sumienie.

To Celina wstała wcześniej niż ona i dreptała po kuchni jak mysz, szykując wszystko do śniadania. To Celina, wyproszona z kuchni, wyjęła z szafy i przejrzała starannie jej strój egzaminacyjny, czy jednak nie ma czegoś do przyszycia, do naprawienia, czy wszystko jest dostatecznie zadbane i schludne. Marzena zaciskała zęby i wytrzymywała te zabiegi rozumiejąc, że przypadła jej rola wice-Adasia i że trzeba się z niej wywiązać należycie.

Myśl o Celinie, starającej się może wbrew sobie, uważać ją za swoje akceptowane i kochane dziecko, o Celinie tak łatwo dającej się wykołować, nie opuszczała Marzeny przez całą drogę do szkoły, a do tej zgryzoty dołączała się pomalutku narastająca niechęć do Adasia. Winnego? czy niewinnego? Bo przecież ktoś musiał być winien temu, co zaistniało. Tylko właściwie kto? Rozważania całej sprawy absorbowały ją tak dalece, że właściwie miało to i dobrą stronę, bo eliminowało przedegzaminacyjną tremę.

Z tak mieszanymi uczuciami przepychała się przez tłum kandydatów do egzaminu w uczelnianym przedsionku, kiedy nagle usłyszała swoje nazwisko. Ktoś powtarzał je kilka razy, łącznie z dwoma innymi.

Cdn.

19

W KOSMOS!... WESTERN i...

Bimbo Bill

TEKST I RYS: Jerzy Wróblewski

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA MŁODZIEŻOWA

UKAZUJE SIĘ OD 1949 R.
NR 107(4348)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137 – 3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Fotoreporterzy tel. 21-98-28. TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm², 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych.
Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Magdalena Piotrowska
Opracowanie techniczne: Grażyna Pajorkowska
Korekta: Barbara Wasilewska

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 2971/C/87. K-86
Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

NAUCZYCIELKA pokazuje na lekcji geografii pocztówki z różnymi pomnikami. Uczniowie mają zgadywać, czyj to pomnik. A więc, zobaczywszy pocztówkę z widokiem placu Zamkowego w Warszawie, klasa woła:

— Kolumna Zygmunta III!

Potem — widząc na pocztówce postać pół kobiety, pół ryby:

— Warszawska Syrenka!

Wreszcie pani pokazuje pomnik Chopina w Łazienkach. Klasa woła zgodnie:

— Pomnik Interwizji!!!

14

ODPOWIEDNIA DZIEWCZYNA

Maria Krüger

Pomyśl o tym moja droga. Pomyśl już teraz. Zanim życie zacznie się dalej układać. Jeśli oczywiście do tego układania dojdzie. Pomyśl już zawczasu... Czy potrafisz? Głośno zaś powiedziała: — Zawsze uważam twojego męża, Malinko, za niezwykle dobrego człowieka. I szlachetnego.

Kiedy wreszcie po wszystkich wieczornych obrządkach Marzena znalazła się na swoim tapczanie, zrozumiała z rozpaczą, że chyba nie zaśnie. Czuła jakiś zamęt, jakąś niedogodność, miała takie wrażenie, jakby zapomniała o czymś, co było ważne, a jednocześnie rozsądnie usiłowała utwierdzić się w przekonaniu, że teraz najlepiej nie myśleć o niczym, bo przecież jutro...

Chyba jednak w końcu przyszło jakieś uspokojenie, bo zasnęła. Ale wkrótce obudził ją jakiś szmer, jakiś niegłośny hałas. Coś się działo. Już idę, już idę — mruknęła niewyraźnie, na wpół rozbudzona, siadając na łóżku. Kiedy natrafiła nogą na pantofel i wstała, uświadomiła sobie, że to Celina tłucze się po swoim pokoju.

Kiedy stanęła na progu, zrozumiała, co się stało. Celina przykucnięta przy tapczanie, zbierała z podłogi odłamki rozbitej szklanki.

— Przepraszam — szepnęła, zmartwiona trochę i jakby zawstydzona — miałam zły sen, obudziłam się gwałtownie i chciałam wziąć coś na nerwy. Wiedziałam, że nie zasnę...

— Ja też nie mogłam zasnąć — powiedziała lekko Marzena — to ten wiatr... Słyszy pani jak wieje? To ten wiatr. Proszę się niczym nie przejmować, ani nie zajmować. Zaraz tu się zrobi porządek... I wie pani co? Zrobię herbaty... Weźmie pani proszek z gorącą herbatą, to szybko zadziała. Zobaczy pani! Ja też chyba coś wezmę...

Plotąc tak trzy po trzy, uprzątnęła rozbitą szklankę, zalepiła plasterkiem skaleczony szkłem palec Celiny i za chwilę postawiła na stoliku przy tapczanie dwie filiżanki nie bardzo mocnej herbaty.

Celina siedząc na tapczanie, okryta troskliwie kołdrą, oparta o poduszki, wodziła za nią oczyma, pewnie przez zapomnienie trzymając ostrożnie do góry ten skaleczony palec, zaklejony plasterkiem. Wyglądała raczej nieszczęśliwie i Marzena dopiero teraz, po raz pierwszy zauważyła, że minione lata zostawiły jednak na niej swoje ślady. Widziało się to najbardziej, kiedy porównało się jej mizerną twarz z fotografią Adasia na stoliku. Teraz, kiedy Celina była nie umalowana i potargane włosy, odrzucone do tyłu odsłaniały jej trochę wypukłe czoło, to podobieństwo było najbardziej uderzające i zarazem uwyraźniał się obraz zniszczenia. Piękne, ciemne oczy, tak podobne do oczu Adasia zapadły się pod czoło, które co prawda pozostało gładkie, ale pod cienką skórą widać było wyraźnie kość czołową. Usta kiedyś na pewno miękkie i złożone do uśmiechu, przecinały twarz wąską kreską. Pod oczami i przy ustach rysowały się cieniutkie zmarszczki, jak na spękanej polewie porcelany. Tylko trójkątny podbródek pozostał nietknięty i zdawał się sygnalizować tę resztkę odwagi, której pewnie kiedyś Celina musiała mieć wiele. Tak, pewnie musiała.

Czy ja tak bardzo źle wyglądam? — rozważała Celina. — Czemu ona tak na mnie patrzy? Przecież nie jestem chora. To tylko to rozbite szkło. Nie, to raczej ten zły sen. Co to było? W tym śnie jakby coś złego działo się z Adasiem... Ale co? Nie mogę sobie przypomnieć...

— Proszek! — usłyszała stanowczy głos Marzeny i machinalnie połknęła malutką pastylkę. Popiła wodą i teraz próbowała przybrać raźną minę.

— Oj, kochanie, przepraszam. Nie mogę sobie darować, że

Dokończenie na str. 7